



Emil Gieras "Piękny dzień"

nimfa bagienna



Ilustracja: pexels.com

Czy wierzycie w istnienie przełomowego momentu w życiu człowieka? Chwili, w której objawia wam się cel, sens waszego życia? Prosta droga, z której już nie możecie zboczyć? Ja wierzę. Niedawno coś takiego przytrafiło się mnie.

- Tato! Tato! – słyszę piskliwe wołanie i tupot bosych stóp na panelach podłogowych. To Jaś oderwał się od klocków lego i biegnie się pożegnać.

- Tato! – Łapie mnie przed drzwiami i rzuca się na szyję, całuje w policzek czy raczej chciał pocałować w policzek, ale przez przypadek dostaję głośnego i mokrego całusa w ucho. Podrywam brzdąca do góry i mocno tulę.

- Do zobaczenia, synku. Bądź grzeczny.

Widzę Marysię siedzącą w salonie. Czyta książkę i uśmiecha się pod nosem, zerkając na swoich mężczyzn. Taką uwielbiam ją najbardziej. Trochę potargana, jeszcze bez makijażu, naturalna i emanująca kojącą energią, otulona miękkim światłem poranka. Zamieram na chwilę wpatrzony w mojego prywatnego anioła. Wiem, że ten obrazek zabiorę ze sobą do grobu.

- Kocham cię. – Oddaję pocałunek synkowi, stawiam go na nogi i wychodzę. – Cześć – rzucam jeszcze, choć maluch już zdążył polecieć do klocków.

Czy jesteście w stanie uwierzyć w miłość tak potężną, że wypełnia każdy oddech, każde uderzenie serca? Uczucie tak przytłaczające, tak oszałamiające, że aż trudno sobie wyobrazić, że może istnieć bez niego życie, świat... Mówi się, że dla miłości można zrobić wszystko. Banał, prawda? Ja jednak wiem, że mógłbym zrobić naprawdę wszystko, nawet zabić. Znowu banał? Być może, być może.

Na dworze witam się z cudownym porankiem. Słońce grzeje przyjemnie, wieje lekki wiaterek. Idę zwirowymi alejkami. Otaczają mnie zieleń i pieśń ptaków. Z uśmiechem pozdrawiam sąsiadów. Mieszkamy tutaj dopiero od roku, ale sądzę, że już zdążyli nas polubić. Ja ich lubię. Machamy do siebie, kłaniamy się, zamieniamy kilka słów. Życzymy sobie udanego dnia. Pięknie.

Nasi ojcowie mylili się. Przyszłość wcale nie wygląda tak, jak wyśnili w koszmarach, jak roili to sobie w amerykańskiej fabryce marzeń. Nie ma postapokaliptycznej pustyni, nie ma zmutowanych bestii uczujących na trupie cywilizacji ani gangów wykołujeńców gotowych zamordować za litr wysokooktanowej. Przyszłość pachnie kwiatem lipy i bzu, dźwięczy śmiechem dzieci i szmerem liści. Choć pod obcą okupacją.

Przed furtką do następnego dystryktu stoję w niewielkiej kolejce. Ludzie rozmawiają ze sobą, podczas gdy oficerowie bezpieczeństwa robią swoje.

- Fantastyczna pogoda, czyż nie? - zagaduje mnie młoda blondynka. Uśmiecha się ładnie. - Aż żal iść do pracy.

- Tak, to prawda - odpowiadam. - Oby popołudniu było równie sympatycznie.

Ogonek sprawnie przesuwa się do przodu.

- Oby, choć po południu to strach chodzić. - Blondynka ścisza głos. - No wie pan - przewraca oczami - bandyci.

Przytakuję skinieniem głowy. Jakaś babinka za nami widać usłyszała naszą rozmowę i podejmuje temat. Swoich skarg nie kieruje jednak do nas, a do przedstawicieli władzy.

- No właśnie! - syczy. Ma wyjątkowo niemiły, jędzowaty głos. - Bandytami lepiej się zajmijcie, a nie porządnych obywateli tylko byście prześwietlali! - zrzędzi i przepycha się na czoło kolejki. Jeden z oficerów zaczyna coś tłumaczyć, że żadnych bandytów nie ma, że skutecznie dbają o ład i bezpieczeństwo, ale kobiecina wie swoje. Wymienia nawet nazwiska ludzi, którzy ponoć przepadli bez wieści.

- Kurek spod piątki! - Słuchanie jej skrzekliwego zawroźdzenia zaczyna być męczące. - Kwiatkowski, ten, co miał psa z kulawą nogą. I Bronek, znaczy pan profesor Kotwicki.

Oficerowie bezpieczeństwa ze stoickim spokojem znudzonym głosem powtarzają raz za razem wykute na blachę formułki i starają się sprawnie wykonywać powierzone im zadanie.

- I moja przyjaciółka, Zosia Pieczówna, ale to z Dąbrowy.

W końcu dają za wygraną i przepuszczają ją pierwszą. Nareszcie się zamyka. Reszta kolejkowiczów wiwatuje, niektórzy biją brawo. Moja rozmówczyni chichocze. Słońce maluje na jej złotych włosach wesołe refleksy. Wygląda przepięknie.

- Następny proszę. - To do niej. Bez jęzdy poszło bardzo szybko, może nawet za szybko.

- Udanego dnia - mówi mi na pożegnanie.

- Tobie również.

Dziewczyna odchodzi i po krótkiej chwili znika za furtką.

- Następny. - Oficer bezpieczeństwa zwraca się w końcu do mnie. Podchodzę i wyciągam w jego stronę zachipowane przedramię.

- Mariusz Kowal, obywatel trzeciej kategorii - mówię, choć oczywiście nie ma takiej potrzeby. System poda im wszystkie moje dane w przeciągu sekundy. Osoby kulturalne jednak i tak się przedstawiają, takie wychowanie. W końcu ich nie znam, zmieniają się prawie codziennie.

Po krótkim skanie przechodzę przez bramkę, która - co było do przewidzenia - wszczyna alarm.

- Rozrusznik typu ZR-201C - mówię szybko, bez zbędnych emocji. - Mam go prawie od urodzenia.

Oficerowie wymieniają spojrzenia, ten, który sczytywał zaszyty w ręce chip, potwierdza skinieniem głowy. Ten drugi, sprzed bramki, zdejmuję dłoń z przycisku dezintegratora.

- Więcej takich jak pan, to mnie się rozrusznik przyda. - Przepuszcza mnie dalej. - Miłego dnia.

- Miłego.

Wkraczam do dzielnicy pracy. Nie jest tu już tak zielono jak w dzielnicy mieszkalnej, ale i tak niejeden futurysta czułby się bardzo zawiedziony. Miłe dla oka wysokie budynki, pastelowe kolory, bezpieczne, obłe kształty, radosne murale. Ot, wesola przyszłość.

Kolejna bramka i kolejny korek, teraz mniejszy i bez marudzącej baby siejącej zamieszanie. Staję na końcu, witam się ze współobywatelami. Mała dziewczynka, dwu-, może trzyletnia, w zapamiętaniu ssie lizaka, pałęta się między nogami dorosłych. Staje przy mnie, zadziera głowę i wpatruje się we mnie cudnymi, ogromnymi oczętami.

- Co tam, brzdącu? - pytam, lecz ona nie reaguje. Jak zahipnotyzowana patrzy na mnie, zapominając nawet o lizaku. Z ust wycieka jej wstęga śliny zmieszanej z barwionym cukrem.

Kucam przy niej i ocieram buzię chusteczką higieniczną.

- Widzisz więcej, co? - mówię szeptem. - Tymi wielkimi, błękitnymi oczami, hmm?

Nie odpowiada. Nie musi.

- Co się stało?! - Podchodzi do nas podenerwowana matka dziewczynki. Już wiem, po kim mała odziedziczyła to niesamowite spojrzenie.

- Nic takiego. - Uśmiecham się. - Mieliśmy tu tylko mały przeciek.

- Najmocniej pana przepraszam. - Kobieta, choć trochę zażenowana, odwzajemnia uśmiech. Nie ma pretensji, że zaczęłam jej dziecko, nie obawiała się, że mogę stanowić zagrożenie. Cóż, budzę zaufanie. Ten typ już tak ma.

- Naprawdę nic takiego - powtarzam i puszczam oko do małej na pożegnanie. - Nic takiego.

Odchodzą. Odprowadzam je wzrokiem za furtkę.

- Następny, proszę!

Podaję przedramię.

- Mariusz Kowal, obywatel trzeciej kategorii.

Skan, bramka, alarm.

- Rozrusznik typu ZR-201C. Mam go prawie od urodzenia.

- Wiemy, wiemy. Miłego dnia.

- Miłego.

Ot, życie.

Pamiętacie o punkcie zwrotnym, o którym mówiłem wam w moim pierwszym mnemowpisie? Cóż, nie byłem zbyt precyzyjny. Tak, zrozumiałem, po co zostałem powołany do życia, pojąłem, czemu chodzę po tym padole. Tak, dotarło do mnie, kim jestem, jaki jest sens mojej egzystencji. Jednak dopiero dziś rano poczułem impuls pchający do działania, wskazujący wyraźny cel, rozwiewający wszystkie wątpliwości. No, prawie wszystkie.

Przerażające i wspaniałe uczucie. Mówię wam.

Mijam ostatnią bramkę przed samym Lagoon Tower i już jestem w pracy. Winda dowozi mnie na dziesiąte piętro do Działu Jakości - mojego działu. Piętro pachnie herbatą i cytrusami. Klaudia - nasza recepcjonistka siedząca za lekkim ażurowym biurkiem - wita mnie wyuczonym uśmiechem. Nigdy nie rozmawialiśmy na inne tematy niż zawodowe, ale wydaje mi się, że jest miłą dziewczyną.

- Miszu już w pracy? - pytam, choć mam sygnał, że jest nieopodal.

- Tak. Przekazać, że idziesz?

- Jeśli możesz, poproś też Mirka Żyńskiego. W razie czego przypomnij mu, że byliśmy umówieni.

Mijam jej biurko i idę korytarzem w stronę masywnych drzwi zdobionych złotą pajęczyną - ponoć alegorią jakiegoś odległego układu planetarnego.

Wchodzę bez pukania. Szef wita mnie karykaturą uśmiechu.

- Cześć - mówi ciepłym, sympatycznym głosem tak niewspółgrającym z resztą jego osoby. - Rozumiem, że to dzisiaj mamy to spotkanie?

Przytakuję.

Miszu jest jednym z nich - zdobywców i władców nowego świata, przybyłych tak naprawdę nie wiadomo skąd, nie wiadomo kiedy. Przez dekady infiltrowali ludzkie społeczności, gromadzili kapitał, przejmowali władzę. Aż w końcu pewnego pięknego dnia - może równie pięknego jak dzisiaj - ujawnili się. Ludzkość przeżyła szok, kiedy ze zgrozą uświadomiła sobie, że Ziemia została podbita przez obcą cywilizację. Tylko że już nikt nie mógł nic zrobić. Obcy posiadli władzę absolutną.

- Usiądź proszę, a skoro i tak czekamy na Mirka, zjem coś. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale... Rozumiesz, jeszcze nic dzisiaj nie jadłem.

- Nie krępuj się.

Miszu przetoczył swe ogromne, galaretowane cielsko po gabinecie. Wyglądał niczym ożywiony obłok z sennych koszmarów lub bajek na Cartoon Network.

Obcy, jeśli chcieli, potrafili wbić swoje miękkie ciała w rodzaj humanoidalnego kombinezonu, który doskonale imitował przedstawicieli ludzkiego gatunku, może niezbyt zgrabnych, może niezbyt szczupłych, ale jednak. Początkowo paradowali w tych garniturach bez przerwy, lecz powoli, stopniowo przyzwyczajali społeczeństwo do swojego prawdziwego wyglądu, do amorficznego, szarego cielska, bez przerwy falującego, nabrzmiewającego i kurczącego się, do dziesiątek nibynózek wyrastających i chowających się na zawołanie w fałdach obrzydliwego puddingu.

Teraz, po latach rządów i oswajania podbitej ludności obnoszą się już ze swoją odmiennością prawie w całej okazałości. Prawie, to znaczy z jakichś względów pozostawili ludzkie twarze, zagnieżdżone gdzieś pośrodku szarej, falującej masy. Zawsze były to twarze mężczyzn – choć sami rozmnażali się bezpłciowo, wśród ludzi ewidentnie upodobali sobie płć męską. Może bardziej się z nimi utożsamiają? Zawsze były to piękne i uśmiechnięte twarze, zawsze młode. Zawsze groteskowe.

– Mam rozumieć, że masz jakiś problem z Mirkiem? – Szef podpływa na idealnie skoordynowanych nibynózkach do zacienionego rogu gabinetu. Rozbrzmiewa cichy syk i fragment podłogi rozsuwa się, ukazując ogromną kadź wypełnioną różowawą, bulgoczącą breją. Pachnie ananasami. Obcy zanurza się w niej do połowy, a na jego twarzy maluje się iście anielski błogostan.

– Jeśli chodzi o tę aferę z Microfuss Ltd., to się nie przejmuj – mówi, popatrując na mnie spod przymkniętych powiek. – Wiem, że nie ty zawałeś.

– Wolę wyjaśnić to w trójkę.

– Rozumiem.

Zanurza się głębiej. Mruczy cicho. Rozkoszuje się smakiem. Dobrze, że nie jestem w stanie się porzygać. Sensory komunikują mi, że różowa breja składa się w głównej mierze z ludzkiej krwi i innych ludzkich tkanek, pozostały niewielki procent to jakieś chemikalia konserwujące i katalizujące. Nie jestem zszokowany. Od lat docierały do nas kontrolowane przecieki, co i rusz pojawiały się nowe artykuły w tak zwanych niezależnych mediach o tym, jakoby przybysze żywili się zmarłymi. Oficjalnie władze wszystkiemu zaprzeczały, ale jednocześnie pojawiła się nowa narracja, nowy sposób myślenia kreowany przez usługowych dziennikarzy i publicystów. A nawet jeśli, to co? Biorąc pod uwagę wszystko, co im zawdzięczamy, dobrobyt, światowy pokój, czyste powietrze. Jeśli za to wszystko mieliby konsumować naszych zmarłych, to chyba nie nazbyt wysoka cena. Przecież nikomu nie dzieje się krzywda. Tak mówili.

Sęk w tym, że to nieprawda.

– Wiesz, że masz we mnie wsparcie? – pyta retorycznie. Zaspokoił chyba już pierwszy głód, gdyż rozkosz nie maluje się już w takim natężeniu na jego ludzkiej masce. – Przez ten rok pracy tutaj przyczyniłeś się do znaczącego rozwoju spółki. Doceniam twoją pomysłowość i zaangażowanie. Czytanie twoich KPI to czysta przyjemność, a projekt AVOCADO dla naszego Contact Center to strzał w dziesiątkę. Ufam ci i wierzę, że będziemy mieli z ciebie jeszcze wiele pożytku.

Uśmiecham się.

Coraz trudniej ludziom wierzyć w mitycznych bandytów, w jakieś mroczne ugrupowania wyrosłe na gruzach organizacji faszystowskich czy tym podobnych. Coraz częściej ludzie mówią o porywaniu i mordowaniu nas przez nowych władców świata. Niektórzy podejrzewają ich nawet o ludożerstwo. Ja nie podejrzewam, ja wiem. Prawda jest taka, że ich metabolizm potrzebuje do życia organizmów

takich jak nasze, najlepiej świeżych, napompowanych hormonami i z działającymi genami. Czy nie mogliby stworzyć syntetycznego odpowiednika? Może rzeczywiście nie, a może po prostu nie widzą takiej potrzeby.

Przyznać im jednak trzeba, że poskramiają swoje apetyty i zabijają stosunkowo rzadko, jednego człowieka na dwójkę przybyszy dziennie. Możliwe, że nadal nie czują się stuprocentowo pewni swojej dominującej roli na Ziemi, a może przez lata życia wśród ludzi poculi do nas odrobinę sympatii. Trudno osądzić. Faktem jest, że rzeczywiście w ich obrzydliwych zupach dominują nieboszczycy zwinięci z prosektorium czy szpitala. Zawsze jednak musi znaleźć się tam przynajmniej trochę „świeżaka”. Dowody zebrane przez wywiad nie pozostawiają w tym temacie żadnych złudzeń.

Wiem, że porwani nieszczęśnicy przed śmiercią poddawani są różnym zabiegom. Zdecydowana większość jest najzwyczajniej w świecie torturowana, innych stymulują seksualnie, rozśmieszają, karmią czekoladą i słodyczami. Czy zatem traktują nas i produkty naszych gruczołów niczym przyprawę? W takim razie zarzynają nas dokładnie tylu, ilu potrzebują.

Wyczuwam obecność drugiego celu. Do gabinetu wchodzi Żyński, encyklopedyczny przykład gnidy, lizusa i konfidenta.

- Cześć! - Lisi uśmiech wykwita na jego wychudłej gębie.

- Witaj, Mirku - przełożony mówi ciepłym głosem.

- Witaj - powtarzam za nim. - Proszę, usiądź. - Sam wstaję i robię mu miejsce.

- W czym problem? - pyta.

- Chcieliśmy... - zaczyna Miszu, unoszący się w gęstej zawieszynie z ludzkiej krwi i ciała. Przerywam mu jednak stanowczym gestem. Na przystojnej, sztucznej twarzy obcego maluje się bezbrzeżne zdziwienie.

To to. Ten moment. Sens mojego istnienia. Kres drogi.

W pierwszej kolejności zwracam się do Mirka. Staram się mówić powoli i wyraźnie, bez zbędnych emocji. Patrzę mu w oczy, kiedy słucha wyroku.

- W imieniu Polski Podziemnej - mówię - skazuję cię na śmierć za zdradę ojczyzny.

Tamten uśmiecha się głupio, popatruje na szefa. Myśli, że to żart. Obcy jest zdecydowanie bystrzejszy. Nie odzywa się ani słowem, ale wiem, że gorączkowo próbuje zaalarmować ochronę, oficerów bezpieczeństwa i swoich ziomków, próbuje mentalnie uruchomić dezintegrator. Niestety dla niego ekranuję pomieszczenie. Żyński chce wstać, lecz osadzam go z powrotem na miejscu. Zwracam się do Miszu:

- W imieniu Polski Podziemnej skazuję cię na śmierć za zbrodnie na narodzie polskim.

Stwórz wybałusza gały groteskowej maski. On wie, że to koniec. Jego myśli jak szalone objijają się o postawioną przeze mnie barierę. Żyński cały czas uśmiecha się głupkowato, cały czas nie rozumie, przynajmniej do momentu gdy dostrzega upiornie czerwone światło sączące się spod mojej koszuli. Reakcja chemiczna rozpoczęta. Żywy ogień pali mnie od wewnątrz. Plama czerwieni rozlewa się po torsie, sięga podbrzusza, ust. Czerwień zamienia się w biel. Będę bał się już tylko przez sekundę.

To dla ciebie, Jasiu, to dla ciebie, Marysiu, żebyście nigdy nie skończyli jako karma dla tych

bydlaków. Co z tego, że nie istniejecie naprawdę, co z tego, że nasze wspomnienia to tylko kod binarny. Bo gdzieś tam przecież muszą żyć taki Jaś, taka Marysia i taki Mariusz. Gdzieś tam musi istnieć taka miłość, prawda?

To za was.

Odwracam się w progu.

- Tato! - Krzyś z impetem rzuca mi się w ramiona. - Pa, pa, tato.

- Pa, pa, synku. Kocham cię.

Z trudem uśmiecham się szeroko. Ściskam go mocno, tak mocno, że przez chwilę boję się, że złamię mu żebra. Jakie to głupie, taka irracjonalna obawa...

Trzy tygodnie temu został aktywowany mój protokół nadrzędny. W jednej chwili zrozumiałem, kim - czy raczej czym - jestem. Po co zostałem stworzony i jak przyjdzie mi zginąć. Poznałem swoje przeznaczenie, przed którym nie mogłem uciec, cel, który musiałem zrealizować. Imperatyw. Czy czułem się zagubiony, oszukany? Tak, oczywiście. Czy mogłem się temu przeciwstawić? Nie. Imperatyw, pamiętacie? Nie umiałem jednak pogodzić się z faktem, że całe moje życie było fikcją, nudnym kawałkiem literatury dla zblazowanych pań domu. Chciałem poznać przeszłość, własną i mojej rodziny. Trochę poszperałem. Nie dowiedziałem się wszystkiego, lecz wiedza, którą posiadałem po złamaniu niektórych zabezpieczeń Armii Krajowej i Państwa Podziemnego spowodowała, że cieszyłem się, że nie umiem płakać.

Zostałem uruchomiony sześć miesięcy temu, dokładnie w dniu naszej przeprowadzki. Wtedy też ponownie aktywowano chłopczyka, którego właśnie tulę w ramionach, i kobietę, która właśnie krząta się po kuchni. Wcześniej nadpisano im nowe - nasze wspólne - wspomnienia, zmieniono profil genetyczny, lekko zmodyfikowano fizjonomię. I przywrócono do służby. A jeszcze wcześniej? Wcześniej byli szczęśliwą rodziną innej chodzącej bomby, terminatora. Za każdym razem, gdy myślę, że już kiedyś kochali innego ojca i męża, że kiedyś byli kochani, wielbieni przez innego mężczyznę, serce chce rozerwać mi pierś. Metaforycznie rzecz ujmując, co w moim przypadku warto podkreślić. A ten facet? Czy dowiedziałem się czegoś i o nim? Jasne. Został bohaterem po tym, jak zlikwidował obcego, niejakiego Miszu, czy jak to tam wymawiają, i pewnego konfidenta, który miał na rękach krew patriotów. Zrobił to, co do niego należało. Był dobrym Polakiem. Co jakiś czas zadaję sobie jeszcze jedno pytanie, nieśmiałe, cicho kołaczące się pod sklepieniem czaszki. Na nie jednak nie udało mi się znaleźć odpowiedzi. Może to i lepiej. A pytanie brzmi... Czy był mną?

Zerkam nad ramieniem Krzysia do kuchni. Monika, jeszcze w zwiewnej nocnej koszuli, szykuje małemu śniadanie. Promienie słońca wpadające przez okno wydobywają spod ubrania zarysy jędrnego ciała. Kobieta odwraca głowę w moją stronę. Nie zdaje sobie sprawy, że jakimś cudem ubrudziła sobie nos masłem orzechowym i wygląda komicznie. Przesyła mi zmysłowego buziaka.

Ten obrazek zabiorę ze sobą do grobu.

Emil Gieras